

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostymów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

9

— Och! — krzyknęła zaniepokojona młoda panna. Na szczęście nic się jeszcze nie przypaliło. Julia roześmiała się głośno i szepnęła do swej sąsiadki, Berty, ale tak, iż wszyscy słyszeli jej słowa:

— Zdaje mi się, iż ta przyjaciółka Ewy powinna być już obeznana z kamizelkami...

Ludwika zarumieniła się cała. Prasowaczka ciągnęła dalej półgłosem i wyzywającym tonem:

— Jest jednak szykowna! Tego nie można jej odmawiać! Popatrz tylko, jak prowadzi tem żelazkiem naprzód i w tył... Mógłby kto pomyśleć, że to młoda panna, pomagająca mamie podawać gościom herbatę...

Twarz Ludwiki z czerwonej stała się bladą.

— Julio! — rzekła spokojnie Ewa.

— Co?

— Chcesz, bym ci dała dobrą radę?

— A dużo ich masz?

— Nie zajmuj się moją przyjaciółką.

— Dlaczego?...

— Ponieważ narażasz się na otrzymanie kilka razy w buzię.

Jedno oko Julii pozostało przymknięte, drugie za to błysło gniewnie.

— I to ja zajmę się tym poczęstunkiem — do dała Ewa.

— Ty?

— Ja!... Pilnuj się... Moja ręka dość dużo waży, a lekko się porusza.

— Chciałabym to widzieć! — odparła zuchwale wysoka dziewczyna.

— Cicho tam! — zawołała matka Lambert. — Pracować!

Ewa postawiła swe żelazko, okrążyła stół i stanęła przed Julią.

— Powtórz, cobyś chciała wiedzieć! — rzekła. — Zobaczysz to tylko jednym okiem, ale natomiast poczujesz na dwóch policzkach!

Prasowaczka wzruszyła ramionami.

— Jeżeli sędzisz — ciągnęła dalej Ewa — że mnie przestraszysz, udając miny apasza, gdy wyciąga nóż z rękawa, to się grubo mylisz.

Czekała przez chwilę, czy Julia ośmieli się co powiedzieć. Potem wróciła na swe miejsce, kończąc:

— Już uprzedziłam. A pierwsza, co się sprzeciwi, przekona się, czy z mej ręki będzie kapał na nią miód!

O tej wczesnej porze, gdy Ludwika stanęła po raz pierwszy do swego ciężkiego zajęcia, Lewis Jackson pracował już oddawna. Po powrocie poprzedniego wieczoru od Maksyma Dureta, miliarder udał się do hotelu Tuilleries-Palace, gdzie Joe Smith zamówił wspaniały apartament. Wziął stąd swą walizkę i kazał się zawieźć do bardzo skromnego hoteliku przy ulicy Amsterdamskiej. Tutaj zajął pokój więcej, niż skromnie umeblowany. Wstał z łóżka razem ze wschodem słońca i teraz siedział razem z Joem Smithem przy małym koszlawym stoliku.

O ósmej godzinie światło nie przenikało jeszcze wcale przez okno, które wychodziło na brudne, ciemne podwórze, głębokie jak studnia. Cobydwaj mężczyźni oświeceni byli niewielką świecą, wsadzoną do fajansowego lichtarza, pomalowanego w czerwone kwiatki. Przy drżącym i kopącym świetle świecy, wielki businessman z natężoną uwagą odczytywał jedną po drugiej depesze, których cały plik leżał przed nim. Po przeczytaniu każdej namyslał się przez chwilę i podawał ją Smithowi, wyjaśniając kilku słowami odpowiedź, jaką sekretarz

winien był na nią dać. Smith z piórem w ręku stenografował pośpiesznie na odwrotnej stronie depeszy wskazówki, jakie mu dawał pryncypał.

Podczas podróży z Nowego Jorku do Cherbourg, businessman pozostawał w ciągłej komunikacji z Ameryką, dzięki telegrafowi bez drutu, znajdującemu się na pokładzie. Gdy tylko stanął na lądzie, zatelegrafował zaraz nazwę hotelu, w którym miał zamieszkać wraz ze swym sekretarzem. Nie zdążył jeszcze przybyć do Tuilleries-Palace, gdy czekało już tam na niego kilkanaście depesz. Spraw swych nie przerywał w ten sposób ani na chwilę. I właśnie załatwianiem tej obszernej korespondencji zajęty był teraz w biednym pokoiku najpodrzedniejszego hotelu. Wspaniały apartament w hotelu przy ulicy Rivoli miał mu służyć jedynie do otrzymywania poczty i do ulokowania w nim swego sekretarza.

Naraz Smith kichnął. Na głowę włożył zaraz kapelusz i podniósł do góry kołnierz od palta.

— Zimno panu? — zapytał miliarder.

— Trochę...

— Well! Każ pan napalić!

— Dziękuję.

Sekretarz był przemarznięty. Pośpieszył też zadzwonić. W chwilę potem zjawił się posługacz w białym fartuchu. Był to wysoki, wychudzony, przygarbiony człowiek ze i zgłodniałą miną, a czarne, wielkie, opadające niedbale na dół wąsy, podkreślały jeszcze błądź jego mizernej twarzy.

— Napalić! — zawołał Joe Smith, nie przestając stenografować instrukcji miliardera, odnoszących się do zarządu kopalni złota.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł błąd posługacz. — Pan wie, że opał płaci się oddzielnie?

— Proszę się pośpieszyć!

— Czy pan każe napalić drzewem czy węglem?... Wiązka podpałek i trzy wielkie polana liczy się pięćdziesiąt centymów... Węgiel mierzy się na wiadra i kosztuje...

— Przynieś drzewa i węgla! — przerwał Amerykanin.

Posługacz wyszedł, ciągnąc na nogach wielkie, znoszne pantofle. Miliarder i sekretarz nie przerywali swej pracy. Od kopalni złota przeszli teraz do jednej z największych dróg żelaznych w Stanach Zjednoczonych.

Wkrótce ukazał się znowu posługacz, niosąc w ręku wiadro węgla, a w fartuchu kilka kawałków drzewa. Złożył to wszystko przed kominkiem, ukląkł i zapytał się, zwracając się do Smitha:

— Czem palić naprzód?

— Wszystkimi — odparł Smith, nie wypuszczając pióra z ręki.

Posługacz zdumiony tą lakonicznością a zarazem i rozrzućnością, zaczął układać wolno, prawie z religijnym namaszczeniem węgle i drzewo w kominku. Możliwe powiedzieć, że jest to kapłan hinduski przed ołtarzem ze świętym ogniem. W trzy minuty potem jakiś dziennik palił się na tem rusztowaniu i dREWienka poczęły zwolna zajmować się płomieniem.

Smith, pisząc ciągle, rzucił okiem w stronę kominka.

— Za wolno to wszystko idzie — rzekł. — Rzucić do ognia świecę!

Ruchem głowy wskazał na całą świecę, stojącą w drugim porcelanowym lichtarzu na kominku.

Posługacz spojrział na Joego Smitha szeroko rozwartymi oczami. Zdawał się nie rozumieć, czego od niego chciał.

Sekretarz nie okazywał najmniejszego zniecierpliwienia. Ten brudny hotel, ten służący o wygłodniałej i ogłupiałej twarzy, ten sposób palenia tak prymitywny dla Amerykanina, przyzwyczajonego do elektrycznych pieców, wszystko to umiał znosić z pewnem lekceważeniem i obojętnością. do jakiej mógł się przyzwyczaić w czasie uciążliwej ekspe-

dycji do skalistych gór, lub podczas mroźnego pobytu w Klondyke.

Joe Smith potrafił znosić wszystko. Tylko gdy w towarzystwie swego pryncypała narażał się na jakie niebezpieczeństwo lub choćby niewygody, to wiedział, dlaczego musi im się poddawać. Teraz zaś nie mógł zupełnie domyśleć się powodów zamieszkania w tak nędznym hoteliku przy ulicy Amsterdamskiej. To go drażniło. Coraz bardziej stawał się zaintrygowany. Mimo to z zupełnym spokojem wstał z krzesła, wziął z lichtarza nową świecę, złamał ją we dwoje i rzucił do ognia, który nie chciał się rozpaść.

— Och! — zawołał posługacz.

Potem dodał:

— Świeca liczy się dwadzieścia pięć centymów.

— Jeżeli chcesz, może się liczyć i dwadzieścia pięć dolarów! — odrzekł gniewnie Amerykanin, siadając z powrotem przy stole.

Służący milczał. Nie wiedział nawet, co to jest dolar.

Świeca zaczęła topnieć i płomienie obejmujące drzewo i węgiel stawały się coraz większe. Smith wyciągnął swe długie nogi w stronę kominka.

— Już skończone! — rzekł do posługacza, który klęcząc oniemiały przed ogniem, zdawał się zasypiać.

Służący wstał i wyszedł.

— Well! — odezwał się w chwilę potem Lewis Jackson. — Już załatwiliśmy wszystko!

Cała paczka depesz przeszła teraz od miliardera do rąk sekretarza.

— Może pan wracać do Tuilleries-Palace — mówił dalej businessman. — Tam panu będzie wygodniej załatwiać się z korespondencją.

— All' right! — odrzekł Joe Smith, wkładając depesze do portfela.

— Przed wyjściem niech pan zatelefonuje do pana Piotra Cartelegue'a na placu Trocadero i do Maksyma Dureta w Neuilly, że jestem tutaj.

— Yes!

I sekretarz wyszedł.

Nie upłynął kwadrans, gdy Piotr jak powiew wiatru wpadł do pokoju swego wuja.

— I co? — zapytał głosem, pełnym niepokoju i drżącym ze wzruszenia.

— Nie wiele ci, mój chłopcze, mam do zakomunikowania.

I miliarder opowiedział mu swą wizytę u pani de Lagunan.

— Z ulicy Ampere — mówił dalej — udałem się do Neuilly, do Dureta... Wuj powtarzał mi prawie dosłownie słowa swej siostrzenicy... Dodał jednak kilka szczegółów, dotyczących tego Karola Turnera...

— Jakto? — zdumiał się Piotr. — Karol Turner nie jest więc postacią urojoną, jak to przypuszczaliśmy?

— Duret utrzymuje, że jest to bogaty przemysłowiec z Australii... Twierdzi nawet, że załatwiał z nim dawniej interesy handlowe... Nie zna jednak obecnego jego adresu...

— A więc?...

— A więc musimy naprzód stwierdzić istnienie tego człowieka... Ja się tem zajmę... Zatelegrafowałem wczoraj wieczorem do pewnego banku w Melbourne... Tutaj mi przysłał odpowiedź... *Entrez!*

Zapukano dwa razy lekko do drzwi. Na progu ukazał się służący.

— Depesza do pana!

Lewis Jackson wziął podany sobie niebieski papier i zaraz go rozpieczętował.

— Oto i odpowiedź! — rzekł.

— Na depeszę wuja?

— Tak.

Miliarder, tłómacząc tekst angielski, przeczytał głośno:

„Karol Turner znana osobistość naszego miasta.